Cena numeru Zł. 0,40.
Nr. 3 (19). SOSNOWIEC, grudzień 1929 r. Rok III.

NASZ ŚWIAT

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjów Państwowych
w Sosnowcu.



Drzeworyt T. Findziński.

Wigilja.

Noc cicha, noc najświętsza,
Niebo pokryły chmury —
I tylko jedna gwiazda,
Złocista patrzy z góry.

Ta mała, złota gwiazdka
To symbol Bożej pieczy,
Co skrzydła swe roztacza,
Ochrania ród człowieczy.

Na ziemi zaś tysiące
Gwiazdek promiennych świeci —
Boć Boże Narodzenie
To dzień miłości dzieci.

Wesoło płoną świeczki
Na zielonej gałęzi,
Płomień ich dąży w górę,
Lecz knot przy ziemi więzi.

I płyną pieśni dziatek
Niby anielskie chóry,
A głos ich słodki leci
W niebiosa, hen do góry!

jot.
Gimn. im. Staszica.

W świętą noc.

Noc wigilijna, pełna wesela i oczekiwania. Wigilja Bożego Narodzenia, święta jedności. które skupia ludzi miłością raz do roku dokoła ogniska rodzinnego. Raj dla dzieci, gwiazdka i Św. Mikołaj — skarbnica wspomnień dla dorosłych.

Ciemno już, lecz miasto czuwa; radośnie błyszczą setki oświetlonych okien, za któremi widać przystrojone choinki. Ciepło i szczęście promienieje wokoło. Ludzie łamią się w tej chwili opłatkiem wymieniają życzenia... głosy ich rzewne, roześmiane twarze. Weseli się miasto! Domy i ulice pokrył śnieg grubą opończą, otulił miłośnie, jak dobra matka, bacząca by nic nie zmąciło snu dziecka. Na dworze panuje wszechwładny król mróz: przyświecają mu złote promyki gwiazd. a wśród nich ta, co ongi zwiastowała narodziny Zbawiciela. — Biedny, o stokroć biedny, kto w noc wigilijną nie dzieli szczęścia bliźnich. kto nie łamie się opłatkiem. Bolesna jest dola samotnika, który nigdy tak jej nie odczuwa jak w świętą noc Narodzin Pana...

— Miasto nie zna co to ból i łzy — dziś się raduje. Płoną świeczki na choince. a z niemi płoną serca, ludzie stają się lepsi, uczynniejsi, miłują się wzajemnie. Od drzewka bożego promienieje dziwne ciepło i ukojenie — co obmywa dusze ze zła i grzechu, co daje łaskę czynienia dobrze. I dlatego obdarowujemy dzieci na B. N., aby wkoło nas było jaknajwięcej roześmianych twarzy! Ludzie się weselą, płoną świeczki na choince i błyszczą radością i dobrocią oczy ludzkie.

J. Horski
Gimn. im. Staszica.

CZYTELNICZKOM i CZYTELNIKOM „WESOŁYCH ŚWIĄT“ ŻYCZY „NASZ ŚWIAT“.

Hej! wakacje, miła pora...

(Garść wspomnień, na tle fantazji).
(Dokończenie).

Po krótkiej chwili — „gdy opadł dym“ — dopowie zniecierpliwiony czytelnik, a ja go poprawię, dał się słyszeć trzask kapiszonu i po drugiej, nieco dłuższej. wypadł z hukiem, dymem, ogniem zabójczy pocisk, a za nim drugi. Wszystko trwało tak krótko. że czytelnik ledwie zdążył przeczytać te słowa. Ja zaś zamarłem w bezruchu i teraz dopiero gęsty, gryzący dym opadł i moim oczom przedstawił się widok kotliny, a w niej nie skrwawione cielsko zająca. jak sądzi czytelnik, ale kupka zeschłych podziurawionych liści. „Stary oklepany kawał“. Tak, ale proszę mi wierzyć, że ja, chociaż już ochłonąłem po owem zdarzeniu — nie wiem do dziś czy rzeczywiście uległem złudzeniu, czy też zając obudziwszy się zdążył wynieść się z pod gradu kul. Nie powiodło się, no trudno. Wyszedłem z „Dołów“ i usadowiłem się z psem za krzakiem w pobliżu koniczyny, gdyż znając zwyczaje zajęcy, wiedziałem, że wychodzą tu przed wieczorem na paszę.

Czekałem cierpliwie, pomimo iż trudno mi było utrzymać psa przez dłuższy czas. Dziwne nastroje przeżywa człowiek w takim oczekiwaniu, trudno je opisać — zna je ten, kto je przeżywał. Jakie miłe jest ich wspomnienie. Wszędzie się panoszyła cisza. tylko nawoływały się kuropatwy. „Cier-lik, Cier-lik“ wołała jedna gdzieś w pobliżu mnie, a druga jej na odległym, przeciwległym brzegu odpowiadała.

Po dłuższem wpatrywaniu się w koniczynę, zauważyłem. że się coś porusza. Puściłem psa i sam przeszukując koniczynę. znalazłem zajączka młodego. Była to mała bryłka, ciepluchna, porośnięta delikatnym puszkiem.

Pierwsza moja zdobycz... jaki też byłem dumny z niej. Cóż kiedy temu zajączkowi serce biło jak młot, a raczej jak mały młoteczek... Głębokie oczka wybałuszył na otaczających go potworów i ledwie zipiał.

Tu muszę powiedzieć, że jestem myśliwym równie zaciekłym jak wytrwałym, ale mimo to kocham zwierzęta, a raczej zające. Zresztą, pań-

stwo z pewnością lubią zające, może szpikowane, ja zaś wolę żywe i ponieważ sam kocham wolność, to pomimo całej radości ze zdobyczy, ścisnęło mi się serce na widok uwięzionego biedaka i... puściłem go na wolność. Tymczasem słońce „ostatnich kresów nieba dochodziło". Na niebie grała gama kolorów i światłocieni. Utworzyły się na nim grupy wysp, jak na jasnym rozdętym oceanie. Począwszy od kobaltu przez ultramarynę, błękit, lazur, seledyn mieniło się niebo różem, czerwienią, amarantem i purpurą przetykaną złotem. Nad okolica rozpięła swe przejrzyste szaty mgła. Hen w oddali srebrzała tylko rzeka, choć i ona zdawała się być przetykana purpurą i fjoletem, co chwilę rozjaśniając się, to gasnąc.

Szybko jednak zapadał zmrok, a od wschodu szła wolno bura zasłona, która wkońcu zasunęła cały świat. Ostatnie ptaki z cichym świergotem układały się do snu, tylko kuropatwy rozpoczynały swe nocne życie. Cier-lik, Cier-lik — dochodziło zewsząd w nocnej ciszy.

W międzyczasie odszukał mnie brat i po krótkiej naradzie postanowiliśmy palić ognisko i piec kartofle. Dziwnem się może komu wydawać palenie ognia w tej porze, ale trzeba przyznać, że ma to swoisty urok. Ja nazbierałem drzewa, a brat ukopał nieco kartofli i rozpaliliśmy ognisko. Po wysuszonym jałowcu z trzaskiem przebiegła iskra obejmując rychło rude gałązki. Wkrótce ułożyliśmy potężny stos, zarówno ze suchego paliwa, jak i ze świeżych dopiero co naciętych gałęzi. To też podniósł się ciężki gęsty dym, a wokoło rozszedł się jałowcowy zapach. Ognisko co chwilę poprawiane i podsycane paliło się z wesołym trzaskiem. Ogień niekiedy przenosił się na trawę, pełzał powoli, lecz szybko gasł. Wokoło w rozdołach czaiły się głębokie czarne cienie, w których ginął dym, majaczyły krzaki jałowców, a po nich przesuwały się cienie. Na przeciwległym urwisku z gliny skakały blaski. Z lekkim, chłodnym wiaterkiem płynęły z oddali przygłuszone głosy, dochodziło szczekanie psów. Tymczasem ciemności dopełniły się, a my z bratem wpatrzeni w fjoletowe obrazki głowni przygasłego ogniska, od którego rozchodziła się woń przypiekanych kartofli, snuliśmy złote marzenia.

Szybko, jak sen zbiegły te chwile, pozostawiając jeno czarowne wspomnienia.

A teraz...

„o czem-że tu dumać na pogońskim bruku,
Przynosząc ze szkoły uszy pełne stuku,
Złorzeczeń, bujań, klasycznych kawałów,
Zapóźnych żalów"...

Józef Sajdak, ucz. kl. V gimn. im. B. Prusa.

Marzenia redaktora.

Redaktor, to nie byle kto! O, nie! To wyrocznia, która orzeka „dobre" lub „do kosza". Wyraz sam „redaktor" ma już taka magiczną, ukrytą siłę, że potrafi ono zmienić człowieka, dodać mu powagi, otoczyć go nimbem tajemniczości. Pan redaktor! Drżą „literaci", gdy usłyszą te dwa słowa i szepczą pacierze, by Bóg dał panu redaktorowi humor. Jeśli któremu z owych „literatów" pan redaktor poda rękę, to zaszczycony nie myje prawicy przez całe miesiące i obnosi ją jako relikwję.

Widzimy więc, że redaktor to nie byle kto, to namaszczona powaga, uświęcona tytułem osobistość. Jak możemy z tego wnioskować, marzenia p. redaktora będą inne niż zwykłego śmiertelnika, będą to marzenia wymarzone. Jakie one są? Postaram się, jako jeden z bliżej p. redaktora żyjących, możliwie jak najdokładniej, najwierniej te niedościgłe marzenia przedstawić.

Redaktor, jak każdy człowiek, ma bardzo wiele przeróżnych marzeń, lecz zajmiemy się tylko temi redaktorskiemi. Wyobraźmy sobie p. redaktora, siedzącego w fotelu z cygarem w zębach. (redaktor może palić, to prawo zastrzegł wszystkim redaktorom szkolnym p. minister specjalnym okólnikiem), głowa w obłokach dymu, wzrok utkwiony gdzieś tam, gdzie marzenia panują. Myśli płyną, przelewają się, kołują, a zegarek (złoty — dar p. Prezydenta Rzeczypospolitej w dowód zasług) redaktorski tyka, tik, tak...

Za fotelem poczyna się coś wyłaniać. Początkowo ledwie zarysowane, jednak co chwila staje się wyraźniejsze. To zjawiła się dziewica-marzenie, piękna, zwiewna, nieuchwytna. Pochyliła głowę i do ucha redaktorskiego szepcze, a szepczę. Redaktor słucha i słucha. Ona mówi:

„Będziesz sławny, czczony, uwielbiany. Portret twój będzie wszędzie, na każdem miejscu. Amanullah da ci tytuł książęcy. Ameryka postawi ci pomnik". — Dziewica odetchnęła i znowu poczęła szeptać: — „Twe pismo prenumerować będą nawet na Marsie! (!) „Pismo"? — mruknął rozmarzony. — Aaa, „Nasz Świat". Tak, „Nasz Świat" musi prenumerować cały świat, nietylko ludzie z Marsa. Z księżycem nawiążę stosunki!" — Redaktor bardziej się rozparł, zaciągnął się cygarem, puścił kłęby dymu, wydął usta, pogardliwie spojrzał naokoło, jakby patrzył na swych rywali. Dziewica-marzenie uśmiechnęła się zalotnie strzepnęła czarną główką, w bok ją przechyliła, nakryła czarne oczy rzęsami i zamyśliła się. Nagle wzniosła się w powietrze i poczęła krążyć koło głowy marzącego, zrazu wolno, następnie coraz szybciej, zawrotniej, aż koło głowy potentata utworzyła się jasna smuga. Myśli redaktora, odbicia ruchów dziewicy - marzenia, były coraz śmielsze, górnolotniejsze.

Redaktor widział się na tronie, pod nogami leżał glob ziemski, symbol „Naszego Świata". Do sali złoconej wpadali raz po raz gońcy z wieściami o drukującem się piśmie w drukarni, gdzie w ciągu godziny bito miljony egzemplarzy. „Nasz Świat" nie taki zwykły. Nie! Piękny, ozdobny i cudowny! Współpracownicy pisma — najzdolniejsi

ludzie świata, praca ich — to perły. Redaktor-król wstał z tronu, skierował się ku oknu, by popatrzeć na świat, na ludzi, dla których pismo było chlebem, bez którego nie mogliby żyć.

Właśnie w pięknych samoloto-autach międzyplanetarnych wieziono „Nasz Świat". Popłynęła łza radości z oka redaktora. Nagle obrazy się zmieniły, poczęły blednąć, maleć i niknąć kolejno. Puk, puk, puk! Co to jest? — myśli redaktor. — Puk, puk, puk! „Proszę" — wykrztusił nawpół przytomny. Otwarły się drzwi, wszedł jeden z współpracowników, złożył jakiś pakunek i wzburzony rzekł: „Z tych 70 egzemplarzy, któreśmy posłali, zwrócono nam 50". — Redaktor oprzytomniał, marzenia pierzchnęły.

Ar. L. (gimn. im. B. Prusa).

Rozpowszechniajcie „NASZ ŚWIAT"!

O przestrzeganiu czystości języka ojczystego.

(Dokończenie).

Z „błogosławionych" czasów austryjackich pozostało jeszcze używanie wyrazu „względnie" jako spójnika, podczas gdy jest on czystej krwi przysłówkiem wyrażającym stosunek pewnych ludzi czy rzeczy do siebie. I tak nasze orzecznictwo sądowe przyjęło ten wyraz i czytamy ciągle i wszędzie, że „pan taki, a taki został skazany na tydzień aresztu względnie na 20 zł. grzywny". Wygląda to, jak gdyby sąd z pobłażliwości (względami) zamienił areszt na karę pieniężną. A czyż to chciał sąd wyrazić? Czy nie można napisać po polsku „lub"? Czyżby wspomnienia zaborców tak były miłe i cenne, że bez niemieckiego „respective" czy „beziehungsweise", które zastępuje się owem nieszczęsnem „względnie" obejść się nie można? Wystarczyłoby trochę uwagi i dobrej woli, aby wyrazić myśl sądu po polsku, aby stwierdzić, że język nasz nie jest ubogi, trzeba go tylko znać!...

Z innych błędów bardzo utartym i trudnym do wykorzenienia jest oznaczenie daty naszego święta narodowego, powiedzenie „trzeci maj". Normalnie i prawidłowo powinno się mówić „trzeci maja", boć nie chodzi tu o jakiś trzeci maj—wszak wtedy trzebaby było powiedzieć, który mianowicie maj uważamy za pierwszy...

A jednak Kraszewski dał swemu dramatowi tytuł „Trzeci maj", jednak w znanym polonezie śpiewamy „Boże daj, by nam świecił trzeci maj..." Skądże tedy wziął się ten błąd, który popełniają nawet znakomici pisarze? Otóż na wyrażenie czasu jako określenia czynności używamy albo miejscownika z przyimkiem, albo dopełniacza. Tak więc mówimy dnia piątego sierpnia, dnia trzeciego maja. W zwrocie „piątego", „trzeciego" należą do rzeczownika „dnia" jako określenia przymiotnikowe, a „maja" jako określenie rzeczownikowe. Gdybyśmy zawsze dodawali wyraz „dnia", „dzień", uniknęlibyśmy błędu (dzień trzeci maja). Tymczasem słowo dzień zwykliśmy opuszczać i mówimy „trzeciego maja" zapominając o dniu i odnosząc te określenia liczebnikowe do maja. Stąd zdaje się nam, że wyrazy te do siebie należą, a skoro mówimy trzeciego maja, to mianownik będzie trzeci maj...

Taksamo toczą się często spory czy należy mówić „daj mi złotego" czy „daj mi złoty". Coprawda utarł się u nas w tym wypadku, zgodnie z tradycją, wyraz złotówka, jednak nie od rzeczy będzie zauważyć, że i tu zachodzi identyczny wypadek, jak poprzednio. Jeśli będziemy mówili złoty p i e n i ą d z, sami łatwo zauważymy co jest prawidłowe, któżby bowiem mówił „daj mi złotego pieniądza"? Nie są to jedyne przykłady tego rodzaju pomieszania pojęć i skrócenia. Bardzo często np. spotykamy się z wyrażeniem „większa połowa", choć ludzie wiedzą doskonale, że połowy muszą być równe. Błędy tego rodzaju bardzo trudno wykorzenić, bo nie są gramatyczne, ale logiczne czyli oparte na braku logicznego myślenia. Tymczasem myślenie wymaga pewnego wysiłku, większa zaś część ludzkości woli nie zadawać sobie tego trudu sądząc, że i tak ją zrozumieją... I dzieje się to nietylko w niższych sferach, ale, wstyd pomyśleć, nawet wśród inteligencji i niema dnia, abym nie widział czy to w książce, czy to w dzienniku kilku takich „kwiatków" wynikających z lenistwa duchowego, z niechęci myślenia. A zdarza się to nietylko w życiu prywatnem boć często okólniki i zarządzenia naszych władz bywają tak ujęte, że mimo najlepszych chęci niepodobna zrozumieć ani słowa. Oto przykład:

Odpis listu Warsz. Dyrekcji Kolejowej.

„Wydział Kontroli Dochodów zawiadamia, że list WPanów z dnia... w sprawie zwrotu listu gwarancyjnego jednocześnie przesłano do Kasy Głównej, gdze takowy przesłany był do przechowania z nadmienieniem, że do zwrotu takowego przeszkód ze strony naszej niema"...

Kto to zrozumie?

W urzędowych papierach instytucyj skarbowych w Katowicach niejednokrotnie figurują wyrażenia „zapodać, zaistnieć" lub zwroty w rodzaju „odpis listu przylega"... Wszakże taki język nietylko czyni odczytanie (i, co ważniejsze, zrozumienie) urzędowego papieru męczarnią i zamienia np. wyrok sądowy w szaradę, ale przecież używanie takiego języka podrywa autorytet władz...

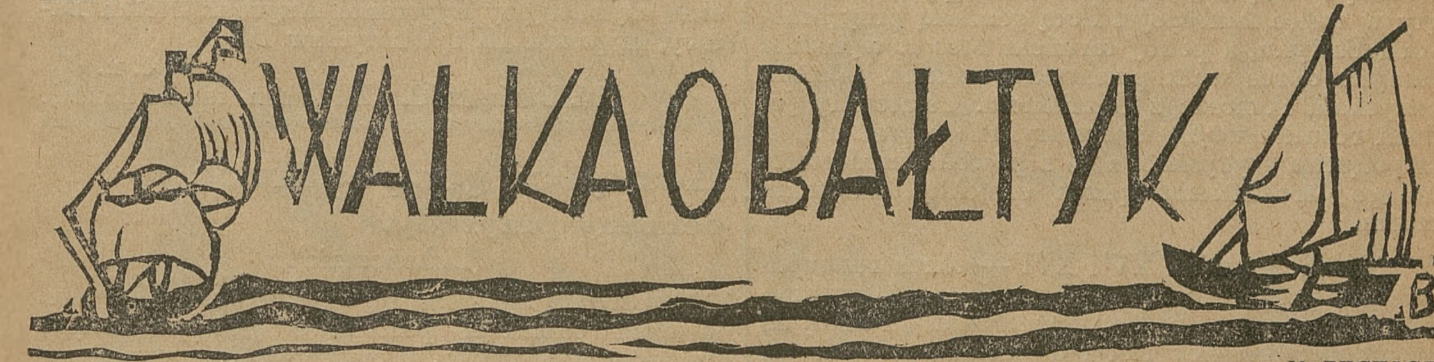
Nie od rzeczy tedy będzie zwrócić uwagę na wymienione przezemnie błędy, które w tak szpetny sposób zatruwają i niszczą skarbiec mowy naszej. Właśnie na terenie szkoły wskazane jest, aby zwrócić baczną uwagę na te barbaryzmy, abyśmy mogli w latach późniejszych stać na straży czystości języka naszego, albowiem poszanowanie języ-

ka ojczystego i troska o jego poprawność powinny być pierwszem przykazaniem każdego Polaka.

Jerzy Horski
Gimn. im. Staszica.

Referat niniejszy odczytany był na zebraniu Koła Humanistycznego przy naszem Gimnazjum w dniu 14 września 1929.

Przy opracowaniu tematu posługiwałem się pracą prof. Temmera „O estetyce żywego słowa", miesięcznikiem krakowskim p. t. „Poradnik językowy", artykułami wielu pism, których nazw w danej chwili nie pamiętam, wreszcie własnemi uwagami i notatkami.



M. BUCHACZ.

Na morze! Hej, na morze odbijaj od ziemi
Łódko młodości, skrzydły lecąca orlemi
W bezgranicznych pęd pragnień, w rozświty gdzieś szare!
Za tobą starych lądów kamienna posucha;
Ty w lazurowe tonie pieśń rzucaj i ducha,
Ty hejnał zorzom śpiewaj! Al mare! Al mare!

Konopnicka.

Jednym z wielu czynników, które wpływają na kształtowanie się wypadków dziejowych, jest morze, ten groźny niszczycielski żywioł, „który lękiem napawa i nęci zarazem". Ten żywioł, jako siła, która sprowadza w polityce zagranicznej ukształtowanie mocarstw, w życiu zaś wewnętrznem stanowi ów impuls, bodziec działań narodu, ujawniających się w jego polityce mocarstwowej i ekonomicznej, z czasem opanowany, stał się nietylko źródłem utrzymania, ale potężnym czynnikiem tworzącym żeglugę, handel i komunikację.

Od najdawniejszych lat datuje się ta dążność, aby oprzeć się o morze, zabezpieczyć sobie jego posiadanie, mieć własną flotę i porty. Ono staje się wielkim gościńcem światowym, który łączy z sobą szereg krajów, staje się najtańszym środkiem komunikacji i ogniskiem handlu, kultury, a wreszcie wielką szkołą charakteru. Skutkiem zrozumienia doniosłości Bałtyku, ten staje się punktem ciężkości interesów ekonomiczno-handlowych, staje się osią dyplomatyczną zabiegów mocarstw europejskich, wśród których znalazła się i Polska.

Nietylko położenie geograficzne, ale układ fizjograficzny: hydrografja zwracały Polskę stale ku morzu i wskazywały konieczność zagarnięcia pasa nadbrzeżnego — Pomorza.

Polska pragnie utrzymać ten wąski pas ziemi, zroszony i przesiąknięty krwią naszych przodków, jako jedyną drożynę ku morzu.

Polska jest dzisiaj jako taternik, co wisząc na linie, wspina się, aby na szczycie zyskać nowe widnokręgi. Tym sznurem jest wąskie pasemko ziemi, które dotyka morza. Jeśli kto ten sznur przetnie, to Polska runie w przepaść, bo naród osiadły nad Wisłą musi zginąć bez jej ujścia, bez amuletu życia narodu. Ta dążność do utrzymania dostępu do morza datuje się już od Mieszka I, a zwiększa się, gdy za Bol. Chrobrego w 997 r. św. Wojciech, udając się na misję do Prus „płynie polską Wisłą do polskiego portu — Gdańska".

W 1030 r. Polska przeżywając straszne chwile podziału dzielnicowego traci Pomorze, ale za Bol. Krzywoustego odzyskuje znowu swój wpływ polityczny. Wkrótce odpadło Pomorze Zachodnie pod stały wpływ niemiecki, podczas gdy Gdańsk bacząc na współczesne wypadki zcala się coraz bardziej z Polską. Wzmacnia go wspólne niebezpieczeństwo od strony Prusaków, przeciw którym ks. mazowiecki Konrad sprowadza w roku 1228 Zakon Krzyżaków. Na gruzach ziemi pruskiej i chełmińskiej tworzy się nowy wróg Polski — Zakon, który sięgnął również po morze, starając się wszelkiemi sposobami przeciąć ten sznur. Odzyskanie Pomorza, to odtąd główny cel polityki polskiej. Zamiary Krzyżaków unicestwiają margrabiowie branderburscy, którzy w walkach z Władysławem Łokietkiem zdobyli Gdańsk i Pomorze. Łokietek szuka pomocy w Zakonie, który zawładnął Gdańskiem, ale, wywoławszy sztucznie zatarg, urządza straszliwą rzeź w 1309 r. Odtąd przez 157 lat trwają nieustanne boje z Zakonem o morze, które „jest głównym gościńcem na kuli ziemskiej, areną dla igrzysk narodów, terenem zapasów siły i ducha przedsiębiorczego wszystkich ludów, kolebką wolności".

Nadchodzi pamiętny rok 1410 — Grunwald. Zachwiała się potęga Krzyżactwa. Zakon poniósł klęskę, która podcięła jego siły żywotne, a zbrojne hufce Jagiełły stanęły znowu na brzegach polskiego morza. Kwestja odzyskania dostępu do morza stała się w niedalekiej przyszłości nieuniknioną konsekwencją pogromu Zakonu. Sam Gdańsk, chociaż związany z Hanzą i wiele zawdzięczał Zakonowi, bo dzięki jego opiece stał

się potęgą handlową, powraca na łono Macierzy. Rozpoczyna się wojna trzynastoletnia, w której udział bierze i Gdańsk „aktem inkorporacji" włączony do Polski. Wytrwale walczy Gdańsk o dostęp Polski do morza, za co otrzymuje od Kazimierza Jagiellończyka „privilegium magnum", które czyniło go wolnem miastem, ale za wiedzą i wolą króla. Ostatnie zastępy Zakonu legły w walce morskiej z flotą gdańską przy brzegach Bałtyku, a pokój toruński 1466 r. wyraźnie zamyka okres walk polsko-krzyżackich. Polska odzyskała Pomorze z Gdańskiem. Ostateczny jednak rezultat wojny był nikły. Polacy nie umieli zwycięstwa wyzyskać, a to z powodu niedostatecznego zrozumienia przez szlachtę znaczenia morza.

Nadchodzi wiek XV i XVI — okres rozkwitu polskiej potęgi morskiej. Wypadki jakie rozgrywały się wówczas w Europie zmuszały Polskę do stworzenia własnej floty, a posiadanie Bałtyku okazało się koniecznem. Rozumiał to dobrze Zygmunt August. Za jego to panowania obok spraw handlowych występują interesy morskie polityczne. On pierwszy rzucił podwaliny floty polskiej i skierował uwagę na Bałtyk i jego pobrzeże — Inflanty, które stały się punktem skrzyżowania interesów mocarstw nadbałtyckich. Sprawa północna poczęła wywierać wpływ na stosunek Prus do Polski. Zygmunt August szuka sprzymierzeńców w Rzeszy w elektorze brandenburskim. Stosunki te ścieśniają się z chwilą sekularyzacji Prus krzyżackich i utworzeniu z nich księstwa lennego.

W tych właśnie czasach rozwiązano w Inflantach Zakon „Kawlaerów Mieczowych", a Inflanty miały przejść pod protektorat Polski. Do spuścizny po Zakonie zgłosiły się jednak obok Polski i Moskwy, Danja i Szwecja. Przygotowuje się więc Z. August do walki z Moskwą, do walki o dostęp do morza na — morzu. Uciekł się więc do stworzenia t. zw. systemu kaperskiego, czyli rozbójnictwa morskiego. Myśl tę poddał mu Wąsowicz, który przekonał króla, że wobec braku własnej floty, należy chwycić się systemu kaperskiego. Stworzono więc flotę ochotniczą, której dowództwo oddano Sierpingowi, pierwszemu admirałowi polskiemu. W 1567 r. było już około 30 kaperskich okrętów z banderą polską.

Polska stwierdziła teraz, że ma zwierzchnicze prawa nad Bałtykiem. Dzieło Z. Augusta nie zyskało jednak poparcia ze strony Gdańska, który uważając się za wyłącznego gospodrza morskich spraw Polski, nie życzył sobie wzrostu Polski, jako potęgi morskiej. Stracenie kilku kaprów przez Gdańszczan było powodem wybuchu ostrego zatargu króla z Gdańskiem, którego wynikiem stały się pamiętne w owych czasach „Konstytucje Karnkowskie". Były one złamaniem dotychczasowych przywilejów Gdańszczan i podporządkowaniem Gdańska Rzplitej jednak nie weszły w życie.

Umarł Zygmunt August, ale nie umarło zapoczątkowane przez niego dzieło. Ogół coraz silniej zaczął rozumieć doniosłość Bałtyku, a mówiąc o morzu nie zapomniano o obronie jego pobrzeża. Gdańsk jednak coraz bardziej dąży do oderwania się od Polski, pamiętając „Konstytucje Karnkowskiego".

Spadkobiercami szczytnej idei Jagiełłowej stali się następcy Zygmunta Augusta: Stefan Batory, Zygmunt III i Władysław IV.

D. c. n.

M. Buchacz kl. VIII (gimn. im. B. Prusa).

Korzyści gospodarcze
ochrony przyrody.

(Dokończenie).

Podobnie rzecz ma się z pasterstwem. U nas w wielu okolicach pasterstwo jest poważnym środkiem utrzymania. Prowadzone jest jednak na sposób pierwotny, a nieraz poprostu rabunkowy. Najlepiej uwydatnia się to w górach. Spasane rokrocznie przez wielkie ilości bydła i owiec, przytem nie nawożone i podsiewane, stają się hale coraz uboższe w roślinność, która traci swą odporność na działanie wód i wiatrów. Wystarczy zobaczyć najbliższe Zakopanemu hale, by stwierdzić fatalne skutki rabunkowego pasterstwa.

Górale zdają sobie sprawę ze stopniowego pogarszania się hal i radzą sobie w sposób jaki im się wydaje najprostszy. Wypalają więc wielkie obszary kosodrzewiny, zarastającej szeroki pas ponad granicą lasu. Skutek wydaje się w dwu pierwszych latach istotnie znakomity. Na żyznej, próchnicznej i popiołem zasilonej glebie puszcza się gęsta ruń ziół i traw. Lecz rychło się to kończy. Glebę niezbyt spoistą wymywa woda, wywiewa wiatr i oto po paru latach na tem miejscu widzimy kamienisko, przetkane kępkami traw i uschłemi gałęziami.

Również gospodarka leśna nie zawsze stoi na poziomie nowoczesnej wiedzy leśniczej. W kraju i tak już przetrzebionym daje się zauważyć stałe, zmniejszanie się zalesienia. Niektóre połaci kraju są już niemal zupełnie lasów pozbawione. Największy ubytek zaznacza się w lasach drobnych właścicieli, którzy znęceni chwilowo wysoką ceną wycinają wszystko, co się wyciąć daje. Tembardziej, że ustawodawstwo lene nie kładzie prawie żadnej tamy.

Często też przy odnawianiu wyciętego lasu zatraca się typ właściwy danej miejscowości. Typem leśnym np. w różnych położeniach karpackich jest mieszany las bukowo - jodłowo - świerkowy. Po wycięciu takiego lasu sadzi się często czystą świerczynę, gdyż świerk najszybciej dorasta do wieku, w którym się opłaca jego eksploatacja. Takiej gospodarce sprzeciwia się sama natura. Sztuczne drzewostany świerkowe ulegają bardzo łatwo napadom owada kornika, ulegają okiści śnieżnej i wiatrom. Ich sztuczność okazuje się niedoskonałością.

Pominąwszy już względy estetyczne i historyczne, które są także niezmiernie ważne, a opierając się na motywach gospodarczych, możemy powiedzieć, że ochrona przyrody nie jest jakąś mrzonką, wylęgłą w umysłach przeczulonych miłośników przyrody, lecz ideą związaną jaknajściślej z życiem materjalnem człowieka.

Niektóre poglądy M. Sokołowskiego zawarte w pracy „Ochrona przyrody w szkole streścił

VIII kl. Gimn. im. St. Staszica.

Lech Czwiertnia

P. S. Wymienioną pracę p. M. Sokołowskiego powinien każdy przeczytać.



Zasady filmu dźwiękowego.

Ostatnią nowością wświecie techniki jest film dźwiękowy. Wynalazek ten jest tem więcej zajmujący, że z rozwojem jego łączą się nowe, ciekawe problematy: Czy film „mówiony" wyprze „film niemy", czy zastąpi on scenę teatru, wprowadzając przewrót w sztuce?...

Pomysł filmu dźwiękowego nie jest nowy. Dawno już myślano nad tem zagadnieniem, jak połączyć dźwięki z wrażeniami wzrokowemi, zastosowywano do tego celu fonograf lub zwykłe płyty gramofonowe, na których utrwalano dzwięki razem z fotografowaniem danych scen, miało to jednak tę wadę, iż dzwięki fonografu nie były wyraźne, a co gorsze, często nie zgadzały się z wyświetlanym filmem. Jedno bowiem wycięcie taśmy, tak częste przy wyświetlaniu, naruszało już zgodność filmu z dźwiękami, wskutek czego dźwięki zupełnie czasem nie odpowiadały wyświetlanym scenom.

Synchroniczność czyli jednoczesność filmu z dźwiękami była zatem dotychczas największym wrogiem filmu dźwiękowego. Dopiero z rozwojem telewizji rozpoczęły się ulepszenia filmu dźwiękowego. Zdanie napozór absurdalne. Jakąż bowiem może mieć wspólność telewizja, widzenie na odległość, z filmem dźwiękowym?

Rozwój jednej i drugiej gałęzi techniki był następstwem wynalezienia przez przez Hallwacks'a t. zw. komórki fotoelektrycznej. Zastosowanie jej w telewizji omawiane było w poprzednim numerze „Naszego Świata", w artykule p. t. „Zasady telewizji".

Jaką rolę odgrywa komórka fotoelektryczna w filmie dźwiękowym, zobaczymy z jego opisu.

Taśma filmu głosowego zasadniczo nie różni się od zwykłej, jest tylko z jednej strony nieco szersza, a ta jej część przeznaczona jest do wywoływania dźwięków. Rozpatrzmy, w jaki sposób odbywa sią utrwalanie dźwięków na taśmie filmowej. Fale głosowe wywołują w mikrofonie słabe prądy elektryczne, które zapomocą odpowiednich wzmaczniaczy można wielokrotnie wzmocnić. Prądy te doprowadzane są do specjalnej lampy optycznej, pozbawionej „bezwładności", to znaczy, iż zmiana siły prądu wywołuje natychmiast zmianę intensywności światła. Otrzymujemy więc w zależności od siły głosu jaśniejsze lub ciemniejsze światło lampy. Promienie świetlne lampy optycznej przechodzą przez otwór o szerokości jednej dziesiątej milimetra, natrafiają na soczewkę i przez nią rzucane są na taśmę filmową. Otwór na taśmie ma wielkość dziesięć razy mniejszą, szerokość jego wynosi więc jedną setną milimetra. Otrzymujemy w ten sposób na taśmie filmowej paski jaśniejsze i ciemniejsze w zależności oczywiście od siły głosu, a co zatem idzie — natężenia światła lampy, i to jest właśnie dźwiękową częścią filmu.

Przy wyświetlaniu filmu dźwiękowego następuje proces odwrotny. Gdy film będziemy kręcić z tą samą szybkością, co poprzednio, przyczem przez taśmę filmową przechodzić będzie światło, wówczas otrzymamy promień świetlny o zmieniającem się wciąż natężeniu, zgodnem z ciemniejszemi czy jaśniejszemi paskami taśmy. Otrzymane w ten sposób, zmieniające się wciąż w natężeniu promienie świetlne, doprowadzamy do t. zw. komórki fotoelektrycznej, mającej tę własność, iż wytwarza prądy o sile proporcjonalnej do padającego na nią światła.

Prądy z komórki fotoelektrycznej po uprzedniem wzmocnieniu dochodzą do głośnika, gdzie

zamieniają się napowrót na fale głosowe. Głos silniejszy wytworzy zatem przy „nakręcaniu" filmu silniejsze prądy w mikrofonie, a więc silniejsze światło lampy optycznej, która z kolei na taśmie filmowej zaznaczy jaśniejszy pasek. Przy wyświetlaniu tego filmu promień świetlny, przechodząc przez ów jasny pasek, będzie miał odpowiednio większą siłę, która w komórce fotoelektrycznej wytworzy większe prądy, a te znów w głośniku wytworzą fale głosowe tej samej siły, jakie utrwaliliśmy. I odwrotnie: Głos słabszy utrwalony jest na taśmie jako pasek ciemniejszy; promień, przechodzący przy wyświetlaniu przez ten ciemny pasek, będzie odpowiednio słabszy, mniejsze więc wytworzy prądy w komórce fotoelektrycznej, a zatem głośnik wyda słabszy głos, ten sam co przy utrwalaniu.

Taśma słuchowa „nakręcana" jest z tą samą szybkością, co taśma wzrokowa. Łatwo więc jest przedstawić sobie, iż po złączeniu obu tych taśm, głos taśmy słuchowej ściśle będzie zgodny ze sceną utrwaloną na filmie wzrokowym, a więc problemat owej synchroniczności jest w ten sposób rozwiązany.

Film dźwiękowy na zachodzie Europy jest już rozpowszechniony; w Polsce stawia on dopiero pierwsze kroki, niedawno bowiem, bo przed kilku tygodniami, pierwszy w Polsce film dźwiękowy wyświetlany był w Warszawie.

Zastanówmy się jeszcze nad zagadnieniem przyszłych ulepszeń filmu. W Ameryce projektowane są kinoteatry, w których wyświetlania filmu nie dokonywa się na małym stosunkowo ekranie, lecz na półkolistej przedniej ścianie sali, wskutek czego widz znajdowałby się niejako w środku akcji. Dołączmy do tego dźwięki, identyczne z rozgrywającą się sceną, a łatwo przedstawić sobie wrażenie, jakie wywiera taki film na widzu, jak emocjonuje, wprowadzając jakoby w rozgrywające się wypadki.

A. Feldbaum (kl. VII gmin. im. Staszica).

Głównem źródłem, z którego korzystałem, jest miesięcznik „Wiedza i życie".

Wrażenia z pobytu we Francji.

Z chwilą nadejścia wakacyj, każdy prawie uczeń staje wobec zagadnienia: gdzie, i jak spędzić dwa miesiące wypoczynku po trudach całego roku szkolnego. Im lepszy będzie wybór, tem więcej miłych i wesołych wrażeń po nich zostanie. Co do nas, to po dłuższym namyśle zdecydowaliśmy się wziąć udział w pięciotygodniowej wycieczce do Francji, zorganizowanej przez specjalne Towarzystwo w Warszawie. Po załatwieniu wszelkich formalności, poczęliśmy się przygotowywać do wyjazdu, który nam naznaczono na 4 lipca br. W oznaczonym dniu wyjechalimy rano ze Sosnowca i popołudniu stanęliśmy w Warszawie.

Udaliśmy się tam do biura wyżej wspomnianego Towarzystwa, gdzie dowiedzieliśmy się, że odjazd do Francji nastąpi o godz. 20.50. Ponieważ zostało nam do wieczora sporo czasu, więc poświęciliśmy go „obijaniu się" po Warszawie. Z nadejściem wieczoru udaliśmy się na dworzec, gdzie byli już zebrani przyszli towarzysze wycieczki w liczbie 45, wraz z kierownikiem i pomocnikiem. Obecny był też prezes Towarzystwa i jego sekretarka.

Zajęliśmy miejsca w osobnym wagonie pociągu Warszawa — Paryż i po ulokowaniu walizek, prawie wszyscy opuścili wagon, aby jeszcze raz pożegnać się z rodzicami, których dość duży zastęp czekał na peronie.

Pełne humoru było to pożegnanie synów przez rodziców. Rodzice dawali jeszcze ostatnie rady i przestrogi jak: „...a uważaj i nie utop mi się w morzu, woda bardzo głęboka", ...pilnuj się synu, żeby cię jaki samochód w tym Paryżu nie przejechał, bo tam to pewnie większy ruch niż w Warszawie" i t. p. Tuż przed samym wyjazdem przybył na dworzec były minister p. Chodźko protektor Towarzystwa, i pożegnał nas uroczyście, prosząc, abyśmy we Francji godnie reprezentowali młodzież polską, i nawiązali kontakt z młodzieżą bratniego nam narodu.

Nareszcie pociąg ruszył i wśród okrzyków pożegnania i wymachiwania chusteczek opuściliśmy Warszawę. W wagonie zapanował ruch i wrzawa. Zaczęło się długie poznawanie, wypytywanie, przypominanie wspólnych znajomych i t. d. Wkońcu znużenie wzięło górę i każdy ułożył się jak mógł do snu. Jedni na ławkach drudzy na walizkach, inni znów na półkach. O godz. 4 rano minęliśmy Poznań, ujrzawszy z daleka tereny „Powszechnej Wystawy" i zbliżaliśmy się szybko ku granicy polsko - niemieckiej. Wreszcie Zbąszyń, — ostatnia stacja polska. Pociąg nasz zatrzymał się tutaj przeszło godzinę, wskutek rewizji paszportów pasażerów. Minęła godzina i pociąg wjechał na terytorjum Niemiec. Charakterystyczny krajobraz polski, ustąpił miejsca niemieckiemu. Na barwnym tle wstęgi krajobrazu, przesuwającej się w oknie wagonu ukazały się wioski lubiących ład i czystość Niemców. Wszystkie białe, kryte czerwoną dachówką, przeważnie skryte w zieleni drzew, rosnących w małych ogródkach. Im bliżej stolicy Niemiec, tem częściej ukazywały się miejscowości fabryczne imponujące ogromem swych budynków, wież, szybów, zbiorników itp. Wkońcu okrążyliśmy sam Berlin, przejeżdżając przez jego pięć wspaniałych dworców. Miasto, z przepływającą przez niego Sprewą, okazało się nam w całym swym przepychu. Podziwialiśmy przepiękne budynki, kościoły i jego ogromny tchnący gorączką pracy ruch. W następnych godzinach minęliśmy Frankfurt i Kolonję. W dali tylko zamajaczyły kontury słynnej katedry kolońskiej, pociąg niknąc dalej, szybko zbliżał się ku granicy niemiecko - belgijskiej. Całe nasze towarzystwo

nie okazuje teraz wcale zmęczenia. Każdy zajmuje się czem może. Jedni czytają, drudzy śpiewają wspólnie. Cały wagon rozbrzmiewa gwarem i wybuchającym co chwila śmiechem. W takim nastroju minęliśmy ostatnią stację niemiecką i wjechaliśmy do Belgji.

Na pierwszej stacji wszyscy „wysypaliśmy“ się z wagonu i na komendę krzyknęliśmy: „Vive la Belgique“. Obok nas stało czterech oficerów belgijskich w charakterystycznych ogromnych beretach na głowie, i zwróciwszy się do nas, z miłym i życzliwym uśmiechem wypytywali się kto jesteśmy, i dokąd jedziemy. Jakiś czas rozmawialiśmy z nimi, lecz wkońcu pożegnawszy sympatycznych Belgijczyków, ruszyliśmy w dalszą drogę. Zbliżała się noc, i ze zmartwieniem, że nie możemy oglądać krajobrazu Belgji ułożyliśmy się po kolacji do snu. W nocy minęliśmy granicę belgijsko-francuską i o godz. 7 rano stanęliśmy u celu podróży; na Gare du Nord (północny dworzec) w Paryżu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wł. Kornacki i J. Jaguczański
VIII i VII kl. gimn. im. B. Prusa

Historja ławki.

Któż z nas za lat dziecinych nie tęsknił do ławy szkolnej, zanim poznał jej rozkosze? Któż z nas nie rwał się do niej, by chociaż jej się przyjrzeć i trochę w niej posiedzeć? Ławka była dla nas tym wyobrażeniem uczenia się.

Z latami dopięliśmy upragnionego zaszczytu, by móc siedzieć w ławce.

Ale ławka tak nam później przez codzienne z nią obcowanie spowszedniała, że po kilku miesiącach nie zwracamy na nią uwagi i jakgdyby mechanicznie siadamy i wychodzimy z niej po kilkanaście razy dziennie. Ale ławka nie przestała z nami obcować, bo ileż to ona nieraz widzi smutków czy radości naszych podczas lekcji, ileż razy była świadkiem mozołów czy ospałości, to ona tylko wie. Lecz my na nią nie zwracamy uwagi, a ona przecież tak blisko z nami żyje i tak jak my z latami starzeje się i tak jak my, ma swoją przeszłość, którą każdy może wyczytać, przyjrzawszy się jej dobrze, pooranej staremi rysami nazwisk, przydomków, postaci i inicjałów jej byłych niewdzięcznych lokatorów, co za usługi zagładą się jej odpłacili. I tak na jednej ławce niewdzięczna ręka wyżłobiła pola do gry w szachy. Widocznie siedzieli tutaj jacyś szachiści, ale to pewnie dawno, bo rysy poczerniały i zdają się nam tylko mówić, że niegdyś toczyły się nad nimi walki mistrzów klasowych o zwycięstwo, że mozolili się podczas lekcji dwaj przyjaciele, a raczej zapaśnicy nad figurkami, że często grali w niebezpieczeństwie wobec „belfra“.

Obok kratki szachowej wypisał ktoś atramentem słodkie dla niego imię Zosia. Widocznie siedział tu jakiś zakochany w uroczej Zosi, której imię napełniało go podczas lekcji marzeniami i porywało mu duszę, gdzieś może bliżej lubej. Niżej imienia może jakiś poprzednik albo następca wyżłobił odpowiednią do imienia postać w profilu. Widocznie był to artysta, bo nadał jej piękne kształty, może cały talent poruszył, by odmalować swój ideał. Na rogu znowuż ławki widnieją inicjały, ku wiecznej pamiątce pokoleń, że tu siedział, mozolił się, albo często nudził się H. T. lub P. J.

I tak wielu zostawia swoje znaki, a ławka wszystko znosi, cierpi i starzeje się z latami, a w końcu poorana bruzdami, jak twarz starca, podobnie jak starzec usuwa się z życia codziennego, ale jakby ona chciała być zawsze młodą i gładką, bo czyż każdy z nas nie chciałby być zawsze młodym i rumianym? Niestety serca niewdzięczników nie czują tej prośby ławki i bezwzględnie scyzorykiem przyspieszają jej starość...

Ego.
(Gimn. B. Prusa).

Też nowina.

(Feljeton).

Matka się śpieszyła. Obwijała prędko olbrzymie pajdy chleba w gazetę, nalewała kawę do butelki litrowej.

— Korka! — krzyknęła na chłopca, który już w czapce czekał przy stole. W tej chwili świst syreny fabrycznej zatargał powietrzem.

— A bodajcie! — wyrwała z dłoni chłopca korek, rzuciła chleb i, korkując butelkę, wpychała mu ją w ręce.

— Śpiesz się! — Wypchnęła go z impetem za drzwi. — Flaszki nie zbij! — krzyczała za nim, widząc, jak warjacko zlatuje ze schodów.

Chłopak biegł ile mu tylko pozwalały bose nogi, migające po czarnym żwirze uliczki. Gorącą butelkę przekładał na zmianę z ręki do ręki, chleb dźwigając pod pachą. Już dogonił ostatnich ciągnących do fabryki ze śniadaniem. Minął dziewczynę w podkasanej spódnicy i matczynej bluzce.

— Te, Kaziek! — usłyszał za sobą, ale nie odpowiadał, bo właśnie trzepnął starszego od siebie łobuza butelką wbok i, śmiejąc się, poskoczył naprzód. Rozpychane kobiety słały za nim życzenia.

— Smarkul! a bodajżeś kark... też leci na złamanie... —

Już się był zatrzymał przy rudym Witku i z nim szedł dalej. Doszli do bramy fabryki. Wcisnęli się z tłumem i wysypali na obszerny plac, gdzie już pełno robotników oczekiwało na swoich, by, wziąwszy śniadanie, odejść do cienia pod płot. Kaziek zadowolony, że zdążył zanim przyszedł ojciec, stanął gdzie zwykle, obok budy przy wadze i gapił się dokoła, ciśnąc do siebie ojcowe śniadanie. Ludzie przewalali się obok niego. Umorusani robotnicy, rozgadane kobiety z koszykami, dzieci, wszystko to szukało się, kręciło tu i tam. Gwizdnął

na Witka, który już oddał swemu ojcu bańkę, pokazał język długiemu Józkowi, co się obok przewinął i ruszył nagle przed siebie, bo już ojciec szedł



Drzeworyt T. Findziński

ku niemu. Podniósł pajdy chleba i butlę do wyciągniętych rąk.

— Widzicie, zawsze czekam! — rzekł przymilnie i ciągnął ojca za rękaw—chodźmy pod ten most —wskazał rusztowanie dźwigu elektrycznego co stał przy hali fabrycznej.

— Gdzie zaś cię ciągnie, pod same maszyny — gderał ojciec odwijając chleb, idąc jednak na wskazane miejsce. Usiadł na zwale żelaznych sztab i zaczął jeść, czarnemi, spracowanemi rękami łamiąc kromy chleba. Kaziek stanął przy nim. Zadarł głowę i obejrzał wysokie, żelazne wiązania i tę budkę, która „sama jeździła“, a na którą tyle razy patrzał ze zdumieniem z za płotu fabryki. Potem przeniósł wzrok na budynek główny i z bojaźnią przed czerwonemi płomieniami ognia buchającego z pieców przypatrywał się dalszym, mrocznym od dymów częściom wnętrza, z którego wychylały się masywy jakichś olbrzymich maszyn, jakichś potworów sypiących iskrami, jakichś cielsk niesamowitych.

— To zawsze tam straszno? — drżąc przysunął się do ojca.

— A zawsze! —

— I wam też? —

— A też!

— Ojej, a jabym się nie bał — szepnął zuchowato, bo był już za plecami rodzica.

— Jak jabym strasznie tam chciał iść, dotknąć się tych ano... Słyszycie! — Zwrócił się do ojca, który milcząc, miażdżył potężnemi szczękami kawał chleba i bezmyślnie patrzył na manewrujące wagony.

— Co? Pójdziesz i ty. Będziesz musiał, ale będziesz wtedy przeklinał.

— E! Weźcie mnie lepiej tam do maszyny, weźcie — prosił.

— Głupiś! nie można. Masz czas i nie ma się do czego spieszyć. Będziesz to kiedyś klął.

— A będę, tak jak wy! Już umiem.—Tu przeciągnął się jak ojciec, gdy przyjdzie z roboty i zaklął szpetnie z wielkiem zadowoleniem, że mu się to dobrze udało.

— Głupiś — powtórzył ojciec, podnosząc się, bo już czas był.

— Ale naprawdę będę robił jak wy? — pytał w radosnem oczekiwaniu.

— Bo będziesz musiał. Rzeknij no matce, że dziś robię na „fajrant“. Zmykaj zaraz do domu— dodał, widząc ociąganie się chłopca. Zabrawszy niedopitą kawę, wszedł do tętniącej hali, bo akurat wykwitł na jej dachu biały pióropusz pary i zaryczała syrena. Kaziek porwał się i znów pędził ku



Drzeworyt T. Findziński.

bramie, by go stróż nie przegonił. Bose nożyny znów zamigotały nad czarną ziemią i rozpięta bluzka furkotała koło uszu.

Za bramą czekał Witek.

— Słyszałeś? — krzyknął Kaziek, nie zważając, że tamten coś mu pokazuje — ja tam pójdę i ty pójdziesz i inni pójdą, a będą kląć jak ojciec.

— Też nowina! — odkrzyknął Witek, który był starszy i odgrywał rolę mądrzejszego. — Ja już niedługo.. chodź grać w „uszaki" — przerwał — mam dwa nowe od Józka.

I popędzili do chłopców, wrzaskliwie zabawiających się koło domu.

N. N.
Gimn. im. Staszica.

Kronika.

Kronika ogólna

W ostatnich dniach zmarł wielki polityk francuski, Clemenceau. Clemenceau był jednym z orędowników pokoju w Wersalu, który zakończył krwawą wojnę światową.

— — — — — — — — — —

Zawiadamiamy Kolegów, że w skład Komisji Redakcyjnej z gimn. E. Plater wchodzą kol.: Ruskówka, Stojczykówna,

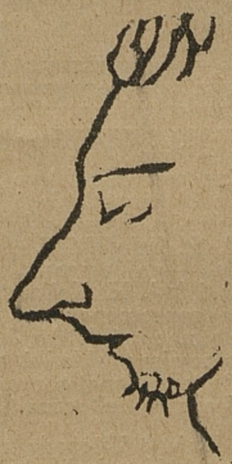
z gimn. im. Bol. Prusa kol.: Jędrzejewski,

z gimn. im. Staszica kol.: Moczarski, Horski i Krasoń.

Redakcja.

— — — — — — — — — —

Jeźdzcy polscy osiągnęli wspaniały sukces w Stanach Zjednoczonych na zawodach o puhar narodów. Uzyskali pierwsze miejsce w zawodach hippicznych, zdobywając po raz trzeci srebrną tacę z podkowami, która teraz pozostanie na zawsze w Polsce jako dowód zręczności polskiej jazdy.



Komisja Redakcyjna:
Nasz korespondent z Parnasu — Z. K.

W ostatnich dniach kpt. Byrd przeleciał samolotem ponad biegunem południowym.

— — — — — — — — — —

Stosownie do ogłoszenia konkursu na winjetę na napis „Nasz Świat", nadmieniamy, że projekt ma być wykonany: 1) tuszem na dowolnym papierze, 2) techniką drzeworytniczą, 3) wielkość nie przekraczająca jednej czwartej długości stronicy „Naszego Świata" (szerokość stronicy).

Redakcja.

KRONIKA GIMN. IM. BOL. PRUSA.

Dnia 5 grudnia w kinie „Zagłębie" wygłosił odczyt p. t. „Podróż samochodem naokoło świata" druh Jeliński.



Jedna z grubszych ryb Komisji Redakcyjnej.

Na odczycie byli obecni wszyscy uczniowie naszego gimnazjum. Odczyt ilustrowany przezroczami był b. interesujący. Dh. Jeliński przejechał samochodem około 80.000 klm. a bandera polska powiewała prawie we wszystkich zakątkach ziemi, dając dowód tężyzny młodzieży polskiej.

Z Kółka Przyrodników. Wraz z rozpoczęciem się roku szkolnego Kółko Przyrodników wznowiło swą działalność. Dnia 22 października odbyło się pierwsze powakacyjne zebranie, na którem ustalono skład zarządu, wysokość składek (25 gr.) i termin ich wpłacania, tj. do dnia 17-go każdego miesiąca.

Dnia 29 października odbyło się pierwsze zebranie zarządu, na którem ustalono następujące sekcje: akwarjum i terrarjum, ćwiczeń zootomicznych, ćwiczeń mikroskopowych oraz sekcja hygienistów. Zebrania sekcji awkarjum i terrarjum będą się odbywały w sobotę, a innych sekcyj w środę po 5 lekcjach.

Dnia 6-go listopada odbyło się drugie walne zebranie Kółka Przyrodników, na którem omawiano zakres działania poszczególnych sekcyj. Opiekun Kółka wyświetlał zdjęcia przyrodnicze.

Dnia 20 listopada, na drugiem zebraniu zarządu ustalono liczbę członków, która wynosi 62. Następnie omawiano sprawę bibljoteki. Książki będą wypożyczane w środę po 5 lekcjach. Z bibljoteki będzie korzystać 90 uczniów.

Do dnia 24 listopada odbyły się dwa zebrania sekcji akwarjum i terrarjum, na którem zajmowano się urządzeniem akwarjów klasowych.

Kółko Krajoznawcze im. W. Pola uczniów gimn. Bol. Prusa w Sosnowcu. Koło po wakacjach wznowiło swoją nader ożywioną działalność. Na ten rok szkolny 1929-30 do zarządu weszli uczniowie kl. VI: Bech, Strzałkowski, Biernacki, Niziński. Opiekunem Kółka został p. prof. Staśko, który na pierwszem posiedzeniu dnia 26 września zakreślił ramy przyszłej działalności i wskazał możliwość rozwoju Koła. W ciągu ostatnich 3 miesięcy Koło urządziło siedem zebrań z odczytami ilustrowanemi przezroczami. Na tych zebraniach były omawiane następujące tematy: „W. Pol jako krajoznawca", „Gdynia — port polski", „Półwysep Hel", „Tajemnica piramidy Cheopsa", „Wrażenia z Wystawy Powszechnej". Pozatem Koło urządziło wycieczkę krajoznawczą, złożoną z 25 uczniów, która pod przewodnictwem swego Opiekuna zwiedziła pustynię Błędowską z Olkuszem i Sławkowem dnia 5 i 6 paździer-

nika. Uczniowie wynieśli z wycieczki miłe i niezatarte wrażenia. Koło jest podzielone na kilka sekcyj, z których jedna ma zamiar urządzić w zimie kurs kartograficzny, a inna zająć się malowaniem różnych obrazów geograficznych, pomagających w pracy szkolnej. Koło liczy 47 członków.

KRONIKA GIMN. IM. ST. STASZICA.

Życie Koła humanistycznego. Na 13-m zebraniu dyskusyjnem dnia 19-X br. kol. Habrzyk (kl. VIII) wygłosił referat n. t. „Znaczenie narodowe literatury". Po dyskusji załatwiono sprawy formalne.

Dnia 9 listopada rb. kol. Słota (VII) miał odczyt p. t. „Bogusławski jako twórca sceny narodowej" oraz kol. Zawadzki (VII) referował temat: „Poezja i muzyka a życie". Dyskusja i rozpatrywanie spraw sekcyj zamknęły zebranie.

Podczas wieczoru dyskusyjnego dn. 23 listopada rb. kol. Ciemniewski (VII) odczytał referat p. t. „Tło historyczne „III-ciej części Dziadów", a kol. Byszewski (VII) p. t. „Znaczenie książki".

Uroczystość Świętego Stanisława Kostki. W dniu naszego Patrona (13 listop.) po mszy św. odbyła się w sali popisowej uroczystość dla starszych oddziałów szkół powsz. i uczniów gimn; zagaił ks. pref. dr. Ufniarski, którego gorliwym staraniom zawdzięczamy świetne zorganizowanie uroczystości. Część koncertową i chóralną wykonała orkiestra i chór pod batutą p. prof. Powiadowskiego. Następnie wygłoszono odczyt i deklamacje. Uroczystość zakończono wspólnem odśpiewaniem „Boże, coś Polskę".



Leader Komisji Redakcyjnej.

Odezwa do wszystkich gimnazjów i seminarjów Zagłębia Dąbr. Koło szachowe przy gimn. państw. im. St. Staszica zwraca się z gorącym apelem do wszystkich szkół średnich na terenie Zagłębia, aby popularyzowały u siebie grę w szachy, zakładając kółka. Szlachetna rywalizacja na szachownicy daje tyle przyjemności i korzyści, że warto poświęcić trochę czasu i energji do zorganizowania graczy.

Szachy, może więcej niż inne gry, zbliżają do siebie młodzież wszystkich szkół, a jako gra, wymagająca wysiłku myślowego, jest przeciwieństwem zawodów sportowych, w których potrzeba użycia tylko sił fizycznych. Zawody sportowe zamiast zadzierzgnąć nici przyjaźni, sieją nieraz zazdrość i złość, gdy podczas zawodów szachowych wytwarza się przemiły nastrój. W roku zeszłym zaprosiliśmy graczy Seminarjum Męskiego w Sosnowcu i rozegraliśmy z nimi turniej. Jak miło spędziliśmy czas, może zaświadczyć każdy uczestnik.

Gdyby w kilku chociaż szkołach zawiązały się kółka szachowe, to możnaby urządzić turniej szachowy o mistrzostwo Zagłębia. Jeśli zajdą jakieś trudności w organizowaniu turnieju, chętnie służymy radą i pomocą.

Zwracamy się i do szanownych Koleżanek z prośbą, aby turnieje zaszczyciły swym udziałem i dowiodły, że i w szachach nie są prześcignione.

Jeżeli w której szkole już istnieje koło szachowe, rzucamy mu, zwyczajem rycerskim, rękawicę.

Koło szachowe przy gimn. państw. im. St. Staszica w Sosnowcu.

Z kółka szachowego. Wreszcie wyłonił się mistrz naszego kółka. Został nim kol. Zawadzki Jerzy po zaciętej walce z groźnym przeciwnikiem Zygmuntem Kowalskim, który wobec przegranej musi się zadowolić drugiem miejscem. Partja która rozstrzygnęła o pierwszem miejscu, odbyła się dn. 29 listopada. Miejsce trzecie dzierży kol. Smolski Kazimierz, mając tylko dwie przegrane z mistrzem i vice-mistrzem. Wszyscy zwycięzcy są uczniami kl. VII, w której zgromadził się wybór graczy. Po wyjaśnieniu sytuacji na przodzie toczą się rozpaczliwe walki na końcu tabeli o utrzymanie miejsc w I drużynie.

Z życia „Koła przyrodniczego". Dnia 9 listopada odbyło się czwarte powakacyjne zebranie Koła, któremu przewodniczył prof. Wyspiański. Na zebraniu tem omawiano szereg aktualnych spraw Koła, a między innemi projekt regulaminu; po ożywionej dyskusji postanowiono ułożyć regulamin na wzór regulaminu „Koła humanistycznego". Pracy tej podjęli się p. Wyspiański wraz z zarządem. Następnie powołano i przyjęto „Sekcję anatomiczną". Po zebraniu ogólnem Koła odbyło się zebranie członków zarządu, na którem wybrano zarząd w osobach: prezes — kol. Moczarski VIII, wiceprezes — kol. Starzycki VII, sekretarz — kol. Słota VII, skarbnik — kol. Wolff VII.

Nasze cukcesy na zawodach P. W. i W. F. Tegoroczne zawody P. W. i W. F. przyniosły szereg sukcesów naszym dzielnym pionierom sportu. Znane przysłowie „Nauka nie idzie w las" nie zawiodło. Zawody P. W. i W. F. dały dowód, że sportowcy korzystali z cennych uwag p. prof. Przygodzkiego, który dokłada wszelkich sił, by postawić sport na najwyższym poziomie. Dzielni zawodnicy zdobyli dwa srebrne puhary, dysk, zegarek, kilka żetonów i dyplomów. Najlepiej spisała się drużyna strzelecka, zdobywszy 3 pierwsze miejsca i wykazując swą wysoką klasę; w trójboju uzyskaliśmy 2-ie miejsce i w pięcioboju 3-ie.

Zawiązanie „Koła polonistycznego". Sprawozdanie I. Z początkiem bież. roku szkolnego grono uczniów klasy IV powzięło myśl założenia ogniska wspólnej pracy pozaszkolnej w celu pożytecznego wyzyskania wolnych od lekcyj chwil. W tym celu odbyło się dnia 7 października rb. pierwsze organizacyjne zebranie, które zagaił kol. St. Zatoński, przedstawiając obecnym cele i zadania Kółka. — Obecnych było 20 kolegów. Przez aklamację wybrani zostali do zarządu: kol. St. Zatoński (kl. IV) — prezes, kol. T. Kamiński (kl. V-a) — vice-prezes, kol. J. Kowalski (kl. V-a) — skarbnik i kol. H. Kalkowski (kl. IV) — sekretarz. Na kuratora zaproszono prof. Makowską. Ogólne zebranie uchwaliło nazwać kółko koleżeńskie „Kołem polonistycznem". Ustanowiono składki miesięczne w wysokości 30 groszy. Postanowiono zaprenumerować pisma: „Nasz Świat", „Wiedza i życie" oraz „Iskry".

Sprawozdanie II. Dnia 4 listopada rb. odbyło się drugie z kolei zebranie, na którem było obecnych członków 25. Omawiane były sprawy finansowe Koła. Referat wygłosił kol. Fidler na podstawie noweli Henryka Sienkiewicza pod tytułem „Niewola tatarska", poczem przeprowadzona była ożywiona dyskusja. Referat uznano za dobry.

Sprawozdanie III. Dnia 23 listopada rb. odbyło się trzecie zebranie „Koła polonistycznego", na którem było obecnych 18 członków. Referat wygłosił kol. Bałazy na podstawie nowelki H. Sienkiewicza „Za chlebem". Drugi referat odczytał kol. Rusek na podstawie nowelek H. Sienkiewicza „Jamioł" i „Szkice węglem". Zebranie przyjęło referat kol. Ruska oklaskami, następnie wywiązała się dyskusja.

Redaktor: kol. T. Findziński. Opiekun pisma prof. dr. F. Suwara.

Adres Redakcji i Administracji: **Gimnazjum im. B. Prusa w Sosnowcu.**

1324/8. 1929. Tłocznia Antoni Mazurkiewicz, Sosnowiec, Dęblińska 1.